

Dół, który wykopali, miał mniej niż metr głębokości. Małeńkie ciało spoczywało w białym worku po mące. Trzy pary przerażonych oczu przyglądały się tej scenie z okna na trzecim piętrze. Chłopic siedzący w środku odezwał się, nie odwracając wzroku:

– Ciekawe, które z nas będzie następne?

Kiedy w katedrze zostaje odnalezione ciało kobiety, a drugie, tym razem młodego mężczyzny, zawisa na drzewie przed jego domem, detektyw inspektor Lottie Parker rozpoczyna śledztwo. Oba ciała mają na nogach charakterystyczny, nieudolnie wykonany tatuaż. Niewątpliwie ofiary coś łączyło. Ale co?

Trop prowadzi Lottie do Domu św. Angeli, dawnego przytułku dla dzieci, z którym wiąże się mroczna przeszłość rodziny inspektora Parker. Teraz to sprawa osobista.

Podczas gdy Lottie zaczyna dostrzegać związek pomiędzy nowymi zbrodniami a morderstwami sprzed dziesięcioleci, znikają bez śladu dwóch nastolatków.

Lottie musi wytropić zabójcę, nim ten uderzy ponownie, ale czy tym samym nie narazi swoich dzieci na śmiertelne niebezpieczeństwo?

Wkrótce Lottie stanie twarzą w twarz z szaleńcem, który ma zdecydowanie inne niż ona pojęcie sprawiedliwości.

Ten wciągający thriller zachwyci fanów Rachel Abbot, Karin Slaughter i Roberta Dugoniego, gwarantując porywającą lekturę do późnej nocy.

Tytuł oryginału  
*The Missing Ones*  
Copyright © by Patricia Gibney, 2017  
All rights reserved  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Oświęcim 2018  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Tłumaczenie:  
Bartosz Czech  
Redakcja:  
Barbara Marszałek, Anna Wasińska  
Korekta:  
Dariusz Marszałek  
Redakcja techniczna:  
Mateusz Bartel  
Przygotowanie okładki:  
Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Dystrybucja: ATENEUM [www.ateneum.net.pl](http://www.ateneum.net.pl)

Numer ISBN: 978-83-7889-603-6

**PATRICIA GIBNEY**

# **ZAGINIENI**

**OŚWIĘCIM 2018**

Dla Aisling, Orla i Cathal.  
Jesteście moim życiem i światem.

# PROLOG

31 stycznia, 1976

*Dół, który wykopali, miał mniej niż metr głębokości. Małeńkie ciało spoczywało w białym worku po mące, ciasno związanym sznurkami brudnego białego fartucha. Toczyli je po ziemi, pomimo że było dość lekkie. Szacunek dla zmarłych był im obcy. Jeden z nich kopnął zwłoki, wpychając je butem głębiej. Bez modlitwy, bez ostatniego namaszczenia zakopali je pod warstwą wilgotnej gliny. Pod jabłonią, która na wiosnę miała wypuścić białe pąki, a latem dojrzałe owoce, znajdowały się teraz dwa kopce ziemi. Jeden z nich – zбитy i twardy, drugi – świeży i sypki.*

*Trzy pary przerażonych oczu przyglądały się tej scenie z okna na trzecim piętrze. Dzieci klęczały na jednym z łóżek.*

*Kiedy ludzie na dole pozbiali łopaty i odeszli, cała trójka dalej wpatrywała się w skapaną w świetle księżyca jabłoń. Dzieci były świadkami czegoś, czego ich młode umysły nie mogły pojąć. Trzęsły się, ale nie z zimna.*

*Chłopiec siedzący w środku odezwał się, nie odwracając wzroku:  
– Ciekawe, które z nas będzie następną?*

# DZIEŃ PIERWSZY

30 grudnia 2014

# ROZDZIAŁ 1

Susan Sullivan miała spotkać się z kimś, kogo bała się najbardziej.

Spacer. Tak, spacer dobrze jej zrobi. Spacer w słońcu, z daleka od dusznego domu, od przytłaczających myśli. Włożyła do uszu słuchawki iPoda, na głowę założyła czarną wełnianą czapkę i, otulając się tweedowym płaszczem, wyszła na mróz. Padał gęsty śnieg.

Jej myśli pędziły jak szalone. Kogo chciała oszukać? Nie mogła o tym nie myśleć ani uciec przed koszmarami przeszłości; prześladowały ją za dnia i wdzierały się w noc niczym olbrzymi nietoperz, doprowadzając ją do mdłości. Próbowwała skontaktować się z detektywem z posterunku policji w Ragmullin, ale bez skutku. Ponad wszystko chciała poznać prawdę i kiedy zawiodły wszelkie tradycyjne środki, postanowiła zrobić to sama. Może w ten sposób pozbyłaby się demonów. Ślizgając się i potykając, przyspieszyła kroku.

Brnęła przez miasto tak szybko, jak pozwalały na to oblodzone chodniki. Zwróciła wzrok ku bliźniaczym wieżom katedry i przeżegnała się, przechodząc przez żelazne wrota. Cementowe schody zostały posypane solą, która teraz chrzęściła pod jej butami. Śnieg zelżał, pozwalając zimowemu słońcu wyjrzeć zza ciemnych chmur. Pchnęła duże drzwi frontowe, obtupała buty na gumowej wycieraczkę i, kiedy echo zamykanych drzwi ucichło, wkroczyła w ciemność.



Zdjęła słuchawki, które teraz zwisały swobodnie z jej ramion. Rozcierając twarz, przesunęła palcem wokół zapadniętych oczu i zamrugała, aby strząsnąć wodę z powiek. Próbowwała odnaleźć się w panującym półmroku. Świece na bocznym ołtarzu rozganiały cienie z pokrytych mozaiką ścian. Białe światło słońca przedzierało się przez witraże. Susan ruszyła przed siebie, wdychając woń kadzidła unoszącą się w powietrzu.

Schyliwszy głowę, wślizgnęła się do pierwszego rzędu i uklękła na drewnianym klęczniku. Przeżegnała się po raz kolejny, zastanawiając się, czy została w niej choć odrobina pobożności po tym, co zrobiła i przez co przeszła. Zgadzała się na spotkanie w katedrze, myślała, że o tej porze będzie pełna ludzi, a tym samym bezpieczna. Ale zła pogoda zniechęciła każdego.

Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Susan wiedziała, że to on. Sparaliżował ją strach. Nie potrafiła spojrzeć za siebie. Zamiast tego patrzyła prosto na lampkę świecącą nad tabernakulum.

Nawa rozbrzmiała echem wolnych kroków. Drewno zakrzypiało, kiedy uklękął w ławce tuż za nią. Podniosła się z klęcznika i usiadła. Słyszała wyłącznie jego oddech. Nawet jej nie dotknął, ale mimo to go poczuła. Od razu wiedziała, że popełniła błąd. On nie odpowie na jej pytania. Nie da jej rozgrzeszenia, którego pragnęła.

– Nie trzeba było się wtrącać – szepnął szorstko.

Odpowiedź uwięzła jej w gardle. Jej oddech przyspieszył, a serce tłukło się w piersi, aż dzwoniło jej w uszach. Chciała uciec, daleko, daleko stąd, ale nie miała już siły. Wiedziała, że to koniec.

Łzy wezbrały w kącikach oczu Susan, kiedy dłoń w rękawiczce oplotła jej gardło. Uniosła dłoń, by wyrwać się

z uścisku, ale on szybko zwinął kabel iPod'a, zaciskając go wokół jej szyi. Odór wody kolońskiej wypełnił jej nozdrza i zdała sobie sprawę, że umrze, nie poznawszy prawdy.

Osunęła się na drewnianą ławkę, próbując mu się wyrwać. Zacisnęła dłonie na jego palcach, co poskutkowało jedynie tym, że kabel ciasniej oplótł jej szyję. Próbowwała nabrać powietrza, ale nie mogła. Zmoczyła się, a on dusił ją coraz mocniej. Osłabiona opuściła ręce. Był zbyt silny.

Kiedy ją dusił, zrozumiała, że po wieloletniej psychicznej męczarni ból fizyczny był miłą odmianą. Zapadająca ciemność pochłonęła światło świecy. Jej ciało zwiotczało, a strach całkowicie ją opuścił.

W ostatnich chwilach udręki pozwoliła, aby cienie zaprowadziły ją do jasnego miejsca, gdzie odnalazła spokój, którego nigdy nie zaznała za życia.

\*\*\*

Katedralny dzwon wybił dwunastą. Mężczyzna zwolnił uścisk i pchnął ciało na podłogę. Kolejny podmuch lodowatego powietrza pomknął wzdłuż środkowej nawy, kiedy w pośpiechu opuścił katedrę.

## ROZDZIAŁ 2

- Trzynaście – powiedziała inspektor Lottie Parker.
- Dwanaście – poprawił ją sierżant Mark Boyd.
- Nie, jest trzynaście. Nie widzisz butelki wódki za jakiem daniel'sem.

Lubiła liczyć. Boyd nazywał to zбочzeniem, ale tak naprawdę to było rezultatem jej doświadczeń z dzieciństwa, kiedy nie mogła poradzić sobie z traumą. Licząc, odwracała uwagę od rzeczy i sytuacji, których nie rozumiała. Teraz jednak był to zwykły nawyk.

- Potrzebujesz okularów. – Sierżant uśmiechnął się.
- A na dolnej półce są trzydzieści cztery.
- Poddaję się – westchnął cicho.
- Frajer – parsknęła.

Siedzieli w barze U Danny'ego, gdzie byli nielicznymi z gości, którzy przyszedli na lunch. Było jej zimno, ponieważ większość ciepła ze znajdującego się za nimi kominka ulatywała na zewnątrz lokalu. Kucharz był zajęty zdejmowaniem kożucha z sosu na tackę obok „dania dnia” – pomarszczonej pieczonej wołowiny. Lottie zamówiła kurczaka w bułce ciabatta, Boyd tak samo. Szczupła Włoszka stała do nich plecami, pilnując chleba, rumieniącego się w piecu.

- Chyba dopiero skubią kurczaki na nasze kanapki, tak długo to trwa – narzekał.
- Nie psuj mi apetytu – odparła.
- Przecież jeszcze nic nie jesz.

Nad barem mieniły się stare świąteczne dekoracje. Przyklejony do ściany plakat obwieszczał występ zespołu Af-

termath w ten weekend. Lottie słyszała o nich od swojej szesnastoletniej córki, Chloe. Wielką tablicę pokrywała wypisana kredą oferta z poprzedniego wieczoru – *trzy drinki za dziesięć euro*.

– W tej chwili dałabym dychę za chociaż jednego – westchnęła.

Nim sierżant zdążył odpowiedzieć, telefon Lottie zawirował. Dzwonił nadinspektor Corrigan.

– Kłopoty – rzuciła, wiedząc, że dziś nie zje lunchu i, gdy tylko niska Włoszka odwróciła się z kurczakiem, detektywów już nie było w barze.

\*\*\*

– Musicie jak najszybciej się dowiedzieć, kto zabił tę kobietę. – Nadinspektor Myles Corrigan srogo popatrzył na detektywów stojących z nim przed katedrą.

Lottie była zmęczona. Potrzebowała wakacji, na które nie mogła sobie pozwolić, bo była spłukana. Bóg jej świadkiem, że nienawidziła świąt, a tym bardziej poświęcenia i przygnębienia.

Detektywi znajdowali się przed katedrą w Ragmullin, zbudowaną w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Corrigan wdrożył ich w sprawę – na posterunek przyszło zgłoszenie o znalezionych w katedrze zwłokach. Nadinspektor natychmiast wszedł w rolę człowieka czynu, otaczając miejsce zbrodni kordonem. Lottie była pewna, że gdyby rzeczywiście doszło tu do morderstwa, szef nie dałby się łatwo wykluczyć ze śledztwa. To ona, detektyw inspektor Ragmullin, powinna prowadzić dochodzenie, nie Corrigan. Na razie musiała jednak odłożyć firmową politykę na bok i zobaczyć, z czym mają do czynienia.

Nadinspektor zaczął wykrzykiwać instrukcje. Lottie bez entuzjazmu wsunęła włosy do kaptura kurtki i ją zapięła. Miała nadzieję, że to nie było morderstwo, tylko jakaś bezdomna po prostu zamarzła.

Corrigan przestał mówić, co oznaczało, że muszą brać się do roboty.

Przeciskając się pomiędzy stojącymi przed drzwiami katedry policjantami, Lottie ruszyła w kierunku drugiego kordonu ustawionego w środkowej nawie. Schyliła się pod taśmą i podeszła do zwłok. Z ciała ubranej w tweedowy płaszcz kobiety, wciśniętej pomiędzy klęcznik i ławkę, poczuła nieprzyjemny zapach. Kabel od słuchawek był zaciśnięty wokół szyi ofiary. Lottie przez chwilę patrzyła na martwą kobietę, zastanawiając się, kim była, jak się tu znalazła i kto będzie za nią tęsknił. Następnie zaczęła wydawać pracującym na miejscu technikom odpowiednie polecenia. Zabezpieczyła też teren dla kryminologów.

– Patolog jest w drodze – oznajmił nadinspektor. – Będzie za jakieś trzydzieści minut, o ile drogi będą przejezdne. Zobaczymy, co powie.

Lottie zerknęła na niego. Był zadowolony na samą myśl brania udziału w sprawie morderstwa. Oczami wyobraźni widziała go, jak wymyśla przemowę na konferencję prasową. Ale to było jej śledztwo, jego w ogóle nie powinno być na miejscu zbrodni.

Za poręczą oddzielającą ołtarz od reszty katedry stała funkcjonariuszka Gillian O'Donoghue. Obok niej ksiądz otaczał ramieniem wyraźnie wstrząśniętą kobietę. Lottie podeszła do nich.

– Dzień dobry. Jestem detektyw inspektor Lottie Parker. Muszę zadać pani kilka pytań.

Kobieta jęknęła.

– Czy to nie może poczekać? – zapytał ksiądz.

Lottie uznała, że był niewiele od niej młodszy. W przyszłym roku kończyła czterdzieści cztery lata, a jemu dałaby ponad trzydzieści. W czarnych spodniach i wełnianym swetrze założonym na koszulę z koloratką wyglądał, jak na księdza przystało.

– To nie potrwa długo – nalegała. – Najlepiej zadawać pytania, kiedy pamięć jest jeszcze świeża.

– Rozumiem – odrzekł ksiądz. – Ale oboje jesteśmy wstrząśnięci, więc nie wiem, czy wiele pani pomożemy.

Wstał, wyciągając dłoń.

– Ksiądz Joe Burke. A to pani Gavin, sprząta w katedrze.

Lottie zdziwiła siłą, z jaką uścisnął jej dłoń. W jego ciemnoniebieskich oczach odbijał się blask świateł.

– Pani Gavin znalazła ciało – oznajmił.

Inspektor wyciągnęła notes. Zazwyczaj używała telefonu, ale uznała, że niestosownie byłoby używać go w kościele. Sprzątaczką podniosła wzrok i zaczęła szlochać.

– No, już, już – ksiądz Burke pocieszał ją, jakby była małym dzieckiem. Usiadł, delikatnie gładząc panią Gavin po ramieniu. – Ta miła pani detektyw chce tylko wiedzieć, co się tu wydarzyło.

*Miła?*, pomyślała Lottie. Nigdy by tak o sobie nie powiedziała. Usiadła na ławce przed księdzem i sprzątaczką i odwróciła się. Dżinsy wpijały jej się w brzuch. Jezu, pomyślała, muszę dać sobie na wstrzymanie z fast foodami.

Kiedy sprzątaczką podniosła wzrok, inspektor oceniła, że ma około sześćdziesięciu lat. Na jej wstrząśniętej bladej twarzy było teraz widać każdą zmarszczkę.

– Pani Gavin, proszę powiedzieć, co wydarzyło się od momentu, kiedy weszła pani dziś do katedry.

Inspektor myślała, że to dość proste pytanie. Ale niestety przerosło panią Gavin, która w odpowiedzi zalała się łzami.

Ksiądz Burke patrzył na nią ze współczuciem. Jego spojrzenie zdawało się mówić: „Żal mi cię, jeśli chcesz cokolwiek od niej wyciągnąć”. Ale, jakby na przekór im obojgu, pani Gavin zaczęła mówić cichym i drżącym głosem.

– Przyszłam do pracy o dwunastej, żeby posprzątać po mszy o dziesiątej. Zwykle zaczynam z tamtej strony – powiedziała, wskazując na prawo. – Ale wydawało mi się, że ktoś zostawił płaszcz na podłodze z przodu środkowej nawy. Powiedziałam sobie: lepiej pójdę tam najpierw. Wtedy zobaczyłam, że to nie był zwykły płaszcz. O Matko Najświętsza...

Pani Gavin przeżegnała się trzy razy i spróbowała osuszyć łzy wymiętą chusteczką. Matka Najświętsza nikomu już teraz nie pomoże, pomyślała Lottie.

– Dotykała pani ciała?

– Broń Boże. Nie! – pokręciła głową. – Miała otwarte oczy i... i to coś wokół szyi. Widziałam już zwłoki, ale takich jeszcze nigdy. Na Boga, ksiądz wybaczy, wiedziałam, że to nieboszczka.

– Co pani zrobiła potem?

– Zaczęłam krzyczeć. Rzuciłam mopa i pobiegłam do zakrystii. Wpadłam prosto na księdza Burke’a.

– Usłyszałem krzyk i wybiegłem, żeby sprawdzić, co się stało.

– Czy którekolwiek z was kogoś widziało?

– Nie – odpowiedział ksiądz.

Po policzkach pani Gavin popłynęła świeża porcja łez.

– Widzę, że nie czuje się pani najlepiej – stwierdziła inspektor. – Funkcjonariuszka O’Donoghue spisze pani dane i zorganizuje powrót do domu. Skontaktujemy się później. Proszę wrócić do domu i odpocząć.

– Zaopiekuję się nią. – Ksiądz Burke miał miły ton głosu.  
 – Najpierw muszę z księdzem porozmawiać.  
 – Mieszkam na plebanii za katedrą. Znajdzie mnie tam pani o każdej porze.

Sprzątaczką oparła głowę na ramieniu księdza.

– Powiniennem zostać z panią Gavin – oznajmił.  
 – Dobrze – inspektor dała za wygraną, widząc, że zrozpaczona kobieta wygląda coraz gorzej. – Będziemy w kontakcie.

Ksiądz skinął głową i poprowadził sprzątaczkę do drzwi za ołtarzem. O'Donoghue podążyła za nimi.

Podmuch zimnego powietrza wdarł się do katedry, kiedy na miejsce zbrodni przybyli kryminolodzy. Corrigan ruszył, aby ich powitać. Jim McGlynn, szef zespołu, powitał go wymuszonym uściskiem dłoni, po czym zaczął dyrygować swoimi ludźmi.

Lottie obserwowała ich pracę przez kilka minut, a następnie podeszła do ciała tak blisko, jak tylko pozwolił na to McGlynn.

– Ofiara wydaje się być w średnim wieku. Ubrała się stosownie do pogody – zwróciła się do Boyda, który uczeplił się jej ramienia jak natrętny rzep. Ruszyła z powrotem w kierunku ołtarza, aby mieć lepszy widok i oddalić się od sierżanta.

– Hipotermia nie wchodzi raczej w rachubę... – konstatawał Boyd, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Drżąc z zimna, inspektor nadal obserwowała techników. Gwar ich pracy zakłócał spokój katedry.

– Ta katedra to największy koszmar – powiedział Jim McGlynn. – Bóg jeden wie, ilu ludzi przewijają się tutaj codziennie i zostawia po sobie ślady.



– Zabójca dobrze wybrał miejsce – stwierdził Corrigan, ale nikt mu nie odpowiedział.

Odgłos wysokich obcasów przemierzających środkową nawę przykuł uwagę Lottie. Niska kobieta, która szła ku nim dziarskim krokiem, tonęła w czarnej kurtce Puffa. W jej dłoni pobrzękiwały kluczyki od samochodu, które po chwili, jakby dopiero co zdała sobie sprawę, gdzie jest, wrzuciła do przewieszzonej przez ramię czarnej skórzanej torebki. Ucisnęła dłoń nadinspektora i przedstawiła się:

– Jane Dore, patolog. – Miała ostry i profesjonalny ton głosu.

– Zna pani inspektor Lottie Parker, prawda? – zapytał.

– Tak. Uwinę się najszybciej, jak się da – odparła, po czym zwróciła się do niej. – Jak tylko ustalę przyczynę zgonu, będziecie mogli zabrać się do pracy.

Lottie imponował sposób, w jaki poradziła sobie z Corriganem, usadzając go, jeszcze zanim rozpoczął kazanie. Jane Dore miała najwyżej metr sześćdziesiąt i przy inspektor, która bez szpilek mierzyła ponad metr siedemdziesiąt, wydawała się dosyć niska. Lottie miała na sobie parę wygodnych butów Ugg, w które niedbale wcisnęła nogawki dżinsów.

Po założeniu rękawiczek, białego teflonowego kombinezonu i po zabezpieczeniu butów patolog przystąpiła do wstępnej oceny ciała. Wsunęła palce pod szyję kobiety, dotykając kabła zaciśniętego na jej szyi, po czym uniosła głowę ofiary, koncentrując się na jej oczach i ustach. Kiedy kryminalodzy obrócili ciało na bok, w powietrzu uniół się odór odchodów.

– Czas zgonu? – zapytała Lottie.

– Ze wstępnych obserwacji wynika, że zginęła w ciągu ostatnich dwóch godzin. Po sekcji zwłok będę miała pew-

ność. – Jane Dore zdjęła rękawiczki z drobnych dłoni. – Jim, jak skończysz, ciało można zabrać do kostnicy Tullamore.

Nie po raz pierwszy Lottie żałowała, że Zarząd Służby Zdrowia przeniósł kostnicę do szpitala w Tullamore, pół godziny drogi od Ragmullin.

– Jak tylko ustali pani przyczynę zgonu, proszę mnie niezwłocznie poinformować – nakazał Corrigan.

Inspektor przewróciła oczami. Wszyscy dobrze wiedzieli, że ofiarę uduszono. Patolog musiała tylko oficjalnie opisać zgon jako morderstwo. Nie było możliwości, by ta kobieta udusiła się sama.

Jane Dore wrzuciła kombinezon do papierowej torby i opuściła katedrę tak szybko, jak się w niej pojawiła.

– Wracam do biura. Inspektor Parker, proszę natychmiast zebrać zespół dochodzeniowy. – Corrigan ruszył marmurową posadzką za odchodząca patolog.

Kryminolodzy spędzili jeszcze kolejną godzinę na miejscu zbrodni. Ciało włożono do worka, który zapięto i umieszczono na noszach. Kiedy opuszczali katedrę, zakrzypiały drewniane drzwi. Zupełnie niepotrzebnie zażyły syreny karetki. Jadąca nią pacjentka nie żyła i nigdzie jej się nie spieszyło.

## ROZDZIAŁ 3

Lottie naciągnęła kaptur na uszy, stojąc na pokrytych śniegiem schodach katedry.

Podniosła wzrok ku niebu, z którego zaczął padać śnieg. Za żelazną bramą, teraz owiniętą biało-niebieską taśmą policyjną, znajdowało się Ragmullin, miasto położone w środkowej części kraju. Mieszkańcy przemierzali ulice od świtu, by o zmierzchu pogasić światła w oknach i wypocząć przed rozpoczęciem następnego nudnego dnia. Lottie lubiła anonimowość, na którą pozwalało to miasto, ale wiedziała też, że ma ono swoje głęboko skrywane ciemne sekrety.

Ragmullin umarło wraz z ekonomią, a przynajmniej tak uważano. Młodzi uciekali do Australii lub Kanady, by dołączyć do garstki szczęśliwców, którzy już tam mieszkali. Ich rodzice natomiast narzekali na brak pieniędzy nawet na rzeczy codziennego użytku.

Spojrzała na drzewa, których gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu, a potem popatrzyła na ziemię pod nogami. Była pokryta lodem, co oznaczało, że policjanci nie znajdą żadnych śladów. Życzyła więc szczęścia funkcjonariuszom, wyposażonym w długie szczypcy, którymi przeszukiwali teren.

– Czternaście – powiedział zaczepnie Boyd.

Obłok dymu z jęgo świeżo zapalonego papierosa otoczył Lottie. Odsunęła się, na co znów się do niej przybliżył. Był wysokim i bardzo szczupłym czterdziestopięcioletkiem. „Wygląda na głodnego”, powiedziała kiedyś jej matka.

Jego orzechowe oczy rozjaśniały interesującą twarz. Miał krótkie, włosy, które pokrywały się siwizną. Pod wielką kurtkę z kapturem założył białą koszulę i szarą marynarkę.

– Czternaście? – zapytała.

– Stacji drogi krzyżowej – odpowiedział. – Myślałem, że będziesz chciała je policzyć w katedrze, więc zrobiłem to za ciebie.

– Znajdź sobie jakieś hobby – mruknęła.

Mieli wspólną przeszłość, której wspomnienie – wyblakłe, ale nadal obecne w świadomości – wywoływało w Lottie dreszcze. Łączyło ich jeszcze kilka innych rzeczy. To ona dostała stopień inspektora, którego Boyd bardzo pragnął. Raczej mu to nie przeszkadzało, ale wiedziała, że chciałby poprowadzić własne śledztwo. Awans niezmiernie ją ucieszył, bo oznaczał, że nie będzie musiała codziennie jeździć sześćdziesiąt kilometrów do Athlone. Spędzone tam lata były udręką, chociaż wahała się, czy powrót do pracy z Boydem w Ragmullin nie był gorszy. Ale z drugiej strony, będąc tutaj, nie musiała już prosić swojej wścibskiej matki, by zajęła się dziećmi.

Lottie odwróciła się od sierżanta, który puszczał kółka z dymu, uśmiechając się pod nosem.

– Sama zaczęłaś – powiedział.

Zaciągnął się ostatni raz, wyrzucił niedopałek i zszedł schodami, kierując się w stronę posterunku. Wbrew sobie uśmiechnęła się i podążyła za nim, uważając, żeby nie upaść na tyłek przed połową policji Ragmullin.

\*\*\*

W kolejce do recepcji stało kilka osób. Podczas gdy dyżurny próbował utrzymać porządek, Lottie przemknęła niepostrzeżenie i pobiegła schodami do biura.

Telefony rozzwoniły się na dobre. Wieści szybko się roznoszą, a w szczególności te złe. Oddychając zatechłym biurowym powietrzem, rozejrzała się dookoła. Jej biurko było nieuporządkowane, w przeciwieństwie do stanowiska pracy Boyda, które zaimponowałoby niejednej telewizyjnej gospodyni. Ani śladu rozsypanej mąki, wszystkie akta i długopisy na swoim miejscu. Ktoś tu wyraźnie cierpiał na nerwicę natręctw.

– Czyścioch – mruknęła.

Z powodu renowacji musiała dzielić biuro z trzema innymi detektywami – Markiem Boydem, Marią Lynch i Larrym Kirbym. Telefony stacjonarne i komórkowe, kserokopiarka, rozlatujące się kaloryfery na olej grzewczy oraz przemarsz każdego, kto chciał skorzystać z toalety, nadawały pomieszczeniu aurę chaosu. Tęskniła za swoim biurem, gdzie cisza pozwalała jej myśleć.

Przynajmniej coś się tu dzieje, pomyślała, siadając za biurkiem.

– Dowiedziałaś się, kim była?

– Denatka?

– Nie, papież. Tak, ofiara.

Nienawidziła, kiedy posługiwał się żargonem z amerykańskich seriali o policjantach. Boyd uśmiechnął się do siebie.

– Domyślam się, że już wiesz, kto to jest. – Przesunęła akta z jednej strony biurka na drugą, szukając klawiatury.

– Susan Sullivan. Pięćdziesiąt pięć lat. Panna. Mieszkała sama w Parkgreen, dziesięć minut drogi samochodem stąd albo pół godziny piechotą. Ostatnie dwa lata pracowała w radzie miejskiej. Była dyrektorem Wydziału Zagospodarowania Przestrzennego, cokolwiek to znaczy. Przeniesiona z Dublina.

– Jak udało ci się sprawdzić ją tak szybko?

– McGlynn znalazł jej imię na iPodzie.

– No i?

– Znalazłem ją w Internecie na stronie rady miejskiej.

A adres mam ze spisu zarejestrowanych wyborców.

– Miała przy sobie telefon? – Lottie nadal przeszukiwała swoje biurko. Bez kompasu i mapy trudno było jej cokolwiek znaleźć.

– Nie – odparł.

– Wyślij Kirby'ego i Lynch do jej domu. Ten telefon to jeden z naszych priorytetów, tak samo jak ktoś, kto powie nam, gdzie dziś była. – Znalazła bezprzewodową klawiaturę w koszu na śmieci u jej stóp.

– Jasne – przytaknął.

– Jacyś krewni?

– Znalezienie żyjących krewnych, o ile tacy istnieją, może trochę potrwać.

Lottie zalogowała się do komputera. Czowała podniecenie, ale irytował ją fakt, że śledztwo zajmie sporo czasu. I tak mieli już sporo do roboty – ciągnące się sprawy sądowe, spory pomiędzy karawaniarzami – a jutrzejsza noc sylwestrowa jak zwykle przyniesie kolejne kłopoty. Pomyślała o rodzinie. Po raz kolejny zostawiła troje nastolatków samych w domu. Może powinna zadzwonić, upewnić się, że nic im nie jest? I musiała jeszcze zrobić zakupy, co zanotowała w odpowiedniej aplikacji na telefonie. Konała z głodu. Grzebiąc w przepelnionej szufladzie, znalazła paczkę przeterminowanych herbatników. Zaproponowała je Boydowi, ale odmówił. Przeżuwając ciastko, wpisała do komputera zeznanie pani Gavin i księdza Burke'a.

– Musisz tak mlaskać? – zapytał.

– Boyd – mruknęła.

– Co?

– Zamknij się!

Wepchnęła do ust kolejny herbatnik i zaczęła go głośno przeżuwać.

– Na miłość boską – jęknął.

– Inspektor Parker! Do gabinetu.

Na dźwięk grzmiącego głosu Corrigan podskoczyła na krześle. Boyd podniósł wzrok, kiedy drzwi biura głośno trzasnęły.

– Co, do diabła...?

Poprawiła bluzkę, naciągając rękaw, i strzepała okruchy z dżinsów. Odgarnęła niesforny kosmyk za ucho i poszła za szefem, mijając porostawiane wszędzie drabiny i puszki z farbą. Inspektorat BHP miałby tu sporo roboty, ale zawsze mogło być gorzej. Wszystko było lepsze od starych pomieszczeń biurowych.

Lottie zamknęła za sobą drzwi. Gabinet nadinspektora odnowiono jako pierwszy; pachniał nowymi meblami i świeżą farbą.

– Siadaj – rozkazał.

Wykonała polecenie, obserwując pięćdziesięcioletniego Corrigan, który usadowił się za swoim biurkiem.

Jego opasy brzech wcisnął się w blat. Pamiętała jeszcze, kiedy był szczupły, sprawny i zasypywał wszystkich radami dotyczącymi zdrowego trybu życia. To było, zanim życie dało mu w kość.

Kiedy pochylił się, by podpisać formularz, zobaczyła swoje odbicie w jego lśniącej łysinie.

– Co się tutaj dzieje? – warknął, podnosząc wzrok.

Ty mi powiedz, w końcu jesteś tu szefem, pomyślała. Zastanawiała się, czy ten człowiek potrafił normalnie rozmawiać. Być może wrzeszczenie należało do jego obowiązków służbowych.

– Nie rozumiem, sir.

Żałowała, że nie ma na sobie kurtki, w której mogłaby schować podbródek.

– Nie rozumiem, sir – przedrzeźnił ją. – Mówię o tobie i tym cholernym Boydzie. Moglibyście spróbować traktować się po ludzku przez pięć minut? Niedługo to będzie oficjalne śledztwo w sprawie morderstwa, a wy dogryzacie sobie jak para gówniarzy.

Lottie zastanawiała się, czy Corriganem wstrząsnęłoby poznanie całej prawdy.

– Uważam, że traktujemy się bardzo po ludzku.

– Zakopcie topór wojenny i bierzcie się do roboty. Co udało się wam ustalić?

– Znamy imię i adres ofiary, a także miejsce jej pracy. Staramy się dowiedzieć, czy miała krewnych – odpowiedziała.

– I?

– Pracuje w radzie miasta. Detektywi Kirby i Lynch zabezpieczają jej dom do czasu przybycia kryminologów.

Corrigan patrzył na nią bez słowa.

– To wszystko, sir. Kiedy zorganizuję centrum koordynacyjne, pojedę do biura rady, by nakreślić portret ofiary.

– Nie chcę żadnych cholernych obrazków! – ryknął. – Macie rozwiązać tę sprawę szybko. Za godzinę udzielam wywiadu cholernemu Cathalowi Moroneyowi z telewizji RTE, a ty mi chcesz malować jakieś portrety!

Lottie patrzyła w jego oczy, przybierając spokojny wyraz twarzy, którego nauczyła się w trakcie dwudziestoczteroletniej służby.



– Zorganizuj centrum koordynacyjne, zbierz zespół, przydziel kogoś jako sekretarza i wyślij mi szczegóły e-mailem. Zwołaj konferencję na jutro rano, będę na niej.

– O szóstej rano?

Skinał głowę.

– A jeśli się czegoś dowiecie, chcę wiedzieć pierwszy. Do roboty!

Tak zrobiła.

Godzinę później z satysfakcją stwierdziła, że każdy z jej ludzi wie, co ma robić. Funkcjonariusze zaczęli chodzić od domu do domu, przepytując mieszkańców. Śledztwo ruszyło. Nadszedł czas dowiedzieć się czegoś więcej o Susan Sullivan.

Lottie wyszła na dwór. Padał śnieg.